

Słowik

беларускаяčeštinačeštinaEnglishfrançaisSłowik (Andersen, przekł. Szczęsny)Słowik (Andersen, przekł. Mirandola)

Wiele lat upłynęło od zdarzenia, które wam chcę opowiedzieć, więc posłuchajcie, zanim ludzie całkiem o niem zapomną.

Wiecie zapewne, że cesarz chiński jest Chińczykiem, zarówno jak jego dworacy i wogóle wszyscy mieszkańcy tego kraju.

Otóż pałac tego cesarza należy do najpiękniejszych gmachów w całym świecie, — olbrzymi, wspaniały, i z najcieńszej porcelany, tak kruchej i delikatnej, że prawie dotknąć się do niej nie można.

Dokoła pałacu rozciąga się ogród, pełen najrzadszych, najpiękniejszych kwiatów. Do tych ostatnich przywiązane są małe dzwoneczki ze szkła i srebra, które dzwonią, kiedy kto przechodzi, a to dlatego, aby nie zapomniał nikt spojrzeć na nie.

Tak mądrze wszystko było urządzone w ogrodzie chińskiego cesarza. A ogród ciągnął się bardzo daleko i sam ogrodnik nie wiedział napewno, gdzie się kończy. Bo też naprawdę nie kończył się wcale, ale łączył z lasem ogromnym, pełnym głębokich jezior i drzew starych, który dochodził aż do brzegów morza. Morze było błękitne i bardzo głębokie, — do samego brzegu przy pływać mogły wielkie statki i zatrzymywać się pod gałęziami drzew olbrzymich, prastarych.

Na jednym z nich, na niskiej zielonej gałęzi, słowik uwił gniazdko i śpiewał co noc tak cudownie, iż ubodzy rybacy, którzy wypływali na morze dla zarobku, opuszczali sieci i siedzieli beczynn timer, zasłuchani w pieśń czarodziejską.

— Boże, jakież to piękne! — Boże, jak on śpiewa! — powtarzali zachwyceni, zabierając się znów do roboty.

Ale następnej nocy powtarzali znowu:

— Boże, jakież to piękne! — Boże, jak on śpiewa!

Z całego świata zjeżdżali się do Chin podróżni, aby obejrzeć cesarską stolicę, wspaniały pałac i ogród cudowny, lecz kto z nich tylko usłyszał słowika, powtarzał bez namysłu:

— To najpiękniejsze ze wszystkiego.

Powróciwszy do ojczyzny, podróżni opowiadali o cesarzu, jego pałacu i ogrodzie, o wszystkich cudach, które oglądali. Uczeni pisali o tem wiele książek, w których podziwiali rzeczy piękne, „lecz słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — zapewniał każdy po kolei. Poeci układali nawet śliczne wiersze, chwaląc leśnego śpiewaka.

Książki się rozchodziły szeroko po świecie, a niektóre zawędrowały do rąk samego cesarza chińskiego. Zasiadł w złotej koronie na kosztownym krześle i czytał, kiwając głową z wielkiego zadowolenia, o przepysznym pałacu swoim i ogrodzie. „Ale słowik najpiękniejszy ze wszystkiego” — powtarzało się na każdej kartce.

— Co to ma znaczyć? — spytał cesarz zadziwiony. — Słowik? Cóż to takiego? W ogrodzie moim jest coś tak pięknego, że zachwycają się wszyscy podróżni, a ja dowiaduję się o tem z ich książek?

I zawołał natychmiast szambelana.

Był to dygnitarz tak dumny, że jeśli który z niższych od niego urzędników śmiał mu zadać jakie pytanie, odpowiadał tylko „Hm!”, — co i po chińsku nic nie znaczy.

— Dowiaduję się z książek — rzekł cesarz — że w moim ogrodzie mieszka słowik, ptak cudowny, najpiękniejszy ze wszystkiego, co się w moim państwie znajduje. Dlaczego ja o nim dotychczas nic nie wiem?

— I ja o nim nie słyszałem — odparł pokornie szambelan. — Nie był dotąd u dworu przedstawiony.

— Więc żądam, aby dzisiaj został przedstawiony — rzekł monarcha. — Świat cały wie o skarbie, jaki posiadam, a ja jeden nic o nim nie wiem!

— Pierwszy raz o tem słyszę — powtórzył szambelan — ale się postaram odszukać go zaraz.

Odszukać! Gdzie go szukać? Biedny szambelan biegał bez wytchnienia po wszystkich salach, schodach, korytarzach, z góry i na dół, wypytywał wszystkich, — ale mu nikt nie umiał odpowiedzieć: nikt w pałacu nic nie słyszał o słowiku i nikt nic o nim nie wiedział.

Wrócił więc do cesarza, zapewniając, że słowika niema na świecie, a w książce napisali widocznie nieprawdę.

— Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą w książkach — mówił z przekonaniem — wszystko to baśnie bez żadnego sensu i niebezpieczne kłamstwa. — Ależ tę książkę przysłał mi sam Dalaj-Lama — zawołał cesarz — więc baśni w niej niema, a kłamstwa być nie może. Chcę usłyszeć słowika. Żądam, aby dziś

jeszcze został mi przedstawiony; obdarzę go najwyższą łaską; — a jeżeli go nie odnajdziecie, cały dwór po wieczerzy zostanie skazany na bambusową chłostę.

— Tsing-pe — odparł szambelan i zaczął na nowo przebiegać korytarze, sale, galerie i schody. Za nim biegł cały szereg dworzan i urzędników, gdyż nikt nie miał ochoty na bambusową chłostę.

Lecz nic nie mogli się dowiedzieć o słowiku, którego wielbił świat cały. W pałacu cesarskim nie wiadano o jego istnieniu.

Nakoniec zapytali o niego ubogiej dziewczynki, pomywaczki u cesarskiego kuchcika, którą przypadkiem spotkano na drodze.

— Jakżebyś mogła nie znać słowika? — odparła. — Jakżebyś mogła nie znać jego śpiewu! Słyszę go co dzień, gdy niosę wieczorem resztki z kuchni dla chorej matki. Siadam wtedy w lesie, albo nad brzegiem morza i słucham, słucham go bez końca i nie mogę odejść, bo tak mi przyjemnie i słodko, że łzy płyną z oczu, jak gdyby mię matuchna całowała.

— Słuchaj — przerwał szambelan — dostaniesz miejsce nadwornej kucharki i wyrobię ci prawo patrzenia przez szparę, jak cesarz obiada, jeśli nas zaprowadzisz do słowika, który musi być dziś wieczorem przedstawiony u dworu.

I natychmiast ruszyli wszyscy za dziewczynką do lasu, gdzie śpiewał słowik.

Uszli już dość daleko, kiedy ryknęła krowa.

— Oho! — zawołał z radością szambelan. — Słyszycie go! Co za siła w małym ptaszku. Istotnie, to zadziwiające! Ale zdaje mi się, że go już słyszałem kiedyś?

— To krowa ryczy — rzekła mała pomywaczka. — Do miejsca, gdzie mieszka słowik, jeszcze bardzo daleko.

Wkrótce w pobliżkiem błocie zarechotały żaby.

— Ach, jak ślicznie! — zawołał kapelmistrz nadworny. — Zupełnie jak szklane dzwonki!

— To żaby — odezwała się znowu dziewczynka — ale teraz zapewne usłyszymy go już niedługo.

Rzeczywiście niebawem rozległa się pieśń słowika.

— To on! — zawołała z radością dziewczynka. — Ach, słuchajcie, słuchajcie! Patrzcie, siedzi na gałązce!

I wskazała szarą ptaszynę pośród zielonych liści.

— Czyż to być może? — spytał zdumiony szambelan. — Nigdy nie przypuszczałem, aby słowik mógł mieć tak pospolitą powierzchowność. Chyba że stracił barwy pod wpływem wzruszenia, na widok tylu osób znakomitych.

— Słowiczku! — zawołała radośnie dziewczynka. — Nasz cesarz życzy sobie, abys mu zaśpiewał.

— Z największą chęcią — odpowiedział słowik i zaśpiewał, jak mógł najlepiej.

— Jak dzwoneczki! jak srebro! — powtórzył szambelan. — Bardzo pięknie, prześlicznie! Patrzcie tylko, jak to gardziołko pracuje! Przepowiadam, że u dworu będzie miał niesłychane powodzenie.

— Czy mam jeszcze zaśpiewać dla cesarza? — zapytał słowik, przekonany, że sam monarcha słucha jego pieśni.

— Najmilszy słowiku — przemówił szambelan — mam zaszczyt w imieniu cesarza zaprosić cię na dziś wieczór do pałacu, abys mógł cudownym śpiewem zachwycić samego monarchę.

— Najlepiej lubię śpiewać w lesie — odparł słowik — lecz skoro cesarz żąda, stawię się wieczorem w pałacu.

W głównej sali porcelanowej przygotowano wspaniałe przyjęcie, — ściany, sufit i podłoga błyszczały od światła, w korytarzach ustawiono najpiękniejsze kwiaty, a dzwoneczki na nich dzwoniły tak głośno, że trudno było rozmawiać swobodnie.

Na środku sali, przed cesarskim tronem, umieszczono złoty pręcik dla słowika. Dwór cały był zebrany, mandaryni w galowych strojach, damy w toaletach balowych, nawet małej pomywaczce, która znalazła słowika, pozwolono patrzeć przez szparę, gdyż mianowaną została obecnie nadworną kucharką jego cesarskiej mości.

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na ptaszka w szarych piórkach, siedzącego na złotym pręciku; sam monarcha skinął mu głową łaskawie.

Wtem słowik zaczął śpiewać. Śpiewał tak cudownie, że łzy błysnęły w oczach chińskiego cesarza i spłynęły mu z wolna po policzkach. Widząc to, słowik śpiewał jeszcze piękniej, głos jego przenikał serca i napełniał je weselem. Rozpromieniło się oblicze władcy i w uniesieniu radości obdarował śpiewaka własnym swym złotym pantoflem, który ptaszek odtąd mógł nosić na szyi.

Ale słowik podziękował za dar tak wspaniały.

— Jestem wynagrodzony dostatecznie — mówił — widziałem łzy w twoich oczach, o monarcho, to najwyższa nagroda dla śpiewaka. Łzy twoje mają cenę i wartość niezwykłą, sam Bóg widzi, że hojnie zostałem wynagrodzony.

I znowu zaczął śpiewać, jeszcze rzewniej, jeszcze piękniej.

Cały dwór był w zachwycie. Damy w balowych strojach nabierały w usta wody i głośno przelewały ją w gardziółkach, co miało naśladować głos słowika; mandaryni i dworzanie kiwali głowami, nawet służba wyrażała zupełne zadowoleniezadowolenie, a to znaczy bardzo wiele, bo jej dogodzić — jak wiadomo — trudniej, niż najwyższym dygnitarzom.

Słowem powodzenie śpiewaka było nieporównane.

Miał odtąd zostać na cesarskim dworze i zamieszkać w pałacu, w klatce złoconej, z której wolno mu było wylatywać na przechadzkę dwa razy dziennie i raz każdej nocy. Do posługi dano mu dwunastu lokai, a każdy do nóżki ptaka przywiązał jedwabny sznurek, aby mu lepiej było latać.

W całym mieście nie rozmawiano o niczym, tylko o cudownym ptaku i jeśli dwie osoby spotykały się na ulicy, to zamiast powitania, jedna z nich natychmiast wymawiała „sło“ — a druga kończyła „wik.“ Dwunastu kupców imieniem słowika nazwało dzieci swoje, choć z tych „Słowików“ żaden nie miał w gardle struny słowicznej.

Dnia pewnego cesarz otrzymał pakiecik z napisem: „Słowik.“

Pewno nowe dzieło o naszym śpiewaku — rzekł zadowolony.

Lecz w pakiecie nie było książki, tylko słowik sztuczny, zrobiony bardzo dziwnie i misternie, a cały osypany brylantami, rubinami i szafirami.

Gdy nakręcono tę maszynkę, sztuczny słowik zaśpiewał zaraz pieśń długą i uczoną. Przytem bardzo wspaniale poruszał ogonem, który się mienił blaskiem kosztownych kamieni. Na szyi miał jedwabną wstążeczkę z napisem: — „Czemże jest słowik Dalaj-Lamy w porównaniu ze słowikiem cesarza chińskiego!“

— Cudowny! Wspaniały! — wołali dworacy i ten, kto doręczył pakiet cesarzowi, otrzymał zaraz tytuł „Nadwornego Obersłowicznika jego cesarskiej mości.“

— A teraz niechaj razem zaśpiewają — rozkazał cesarz — będzie wspaniały duet.

Nakręcono sztucznego ptaka i mieli śpiewać razem, lecz duet się nie udał, gdyż słowik sztuczny śpiewał podług przepisanej miary, a leśny śpiewak z serca i natchnienia.

— Ten nic nie winien — zdecydował kapelmistrz nadworny, wskazując sztucznego ptaka, — doskonale trzyma się taktu, jak gdyby się wykształcił w mojej szkole.

— Nakręcono go więc do śpiewania solo i miał powodzenie niemniejsze od słowika prawdziwego, a kosztownym, błyszczącym strojem bardziej zachwycił wszystkich.

Jedną i tę samą sztukę śpiewał trzydzieści trzy razy i nie zmęczył się wcale. Wszyscy słuchali go z wielkim zajęciem, lecz nie umieli jeszcze melodyi na pamięć, gdyż była bardzo trudną. Chcieli nakręcić go raz trzydziesty czwarty, ale cesarz zażądał, aby teraz zaśpiewał słowik żywy.

... Lecz gdzież się podział?...

Niepostrzeżony wyfrunął przez okno i uciekł do swojego lasu zielonego.

— A to co? — pytał cesarz z niezadowoleniem.

— A to co? — powtórzyli natychmiast dworacy i zaczęli szemrać z głośnem oburzeniem, wyrzucając niewdzięczność słowikowi.

— Na szczęście lepszy ptak nam został — zdecydowali wreszcie.

Kazano go nakręcić po raz trzydziesty czwarty i wysłuchano znowu z poważnem skupieniem doskonałej i trudnej pieśni, której nikt jeszcze nie mógł się nauczyć.

Kapelmistrz nie miał dość słów na pochwałę misternego śpiewaka, który jego zdaniem, wart był nieskończenie więcej od słowika prawdziwego, nie tylko z powodu pięknej i kosztownej powierzchowności, lecz głównie ze względu na znakomity wewnętrzny mechanizm.

— Racście panowie tylko sami ocenić tę różnicę: — mówił — ze słowikiem prawdziwym nigdy nie wiadomo: co zaśpiewa? jak zaśpiewa? Jest się na jego łasce. A w sztucznym wszystko stałe, jasno określone i wiadome. Można go otworzyć, obejrzeć walce i sztyfciki, zrozumieć, skąd się głos bierze i jakim sposobem.

I wszyscy byli tego zdania, a Nadworny Obersłowiecznik otrzymał pozwolenie pokazania ptaka ludowi w najbliższe święto.

Wszyscy słuchali go z wielkim zachwytem i podnosili w górę palec wskazujący, wołając: „O”! — potem się rozchodzili, kiwając głowami.

Tylko biedni rybacy, którzy słyszeli nieraz śpiew słowika, inaczej myśleli sobie.

— Ładnie śpiewa — mówili — ale czegoś mu brakuje. A czego? Sami nie wiemy.

Na słowika zapadł wyrok wygnania z granic chińskiego państwa.

Sztucznego ptaka umieszczono na jedwabnej poduszce u wezgłowia cesarza. Otaczały go wszystkie kosztowności i dary, które otrzymał za pieśni; przyznano mu też tytuł: „Wielkiego śpiewaka jego cesarskiej mości” i pierwsze miejsce obok cesarza przy stole po lewej stronie, jako po stronie serca, to jest ważniejszej, gdyż i chiński cesarz ma też serce po lewej stronie.

Kapelmistrz nadworny napisał o nim dzieło bardzo uczone i pełne niezwykłych wyrazów w dwudziestu pięciu tomach; każdy je też kupował i wychwalał, aby o nim nie pomyślano, że jest nieukiem, który podobnych rzeczy nie rozumie.

Tak upłynął rok cały. Nietylko dwór i cesarz, ale wszyscy mieszkańcy stolicy umieli już piosnkę słowika na pamięć, słuchano jej wszakże z coraz większą przyjemnością, gdyż każdy mógł wtórować teraz śpiewakowi. Przyśpiewywali też wszyscy: thiu, thiu, thiu! glu, glu, glu! śpiewali ulicznicy na ulicach, śpiewał i sam monarcha.

Ale pewnego wieczora, kiedy cesarz, leżąc w łóżku, słuchał znanej pieśni, nagle coś w ptaku brzęknęło, trzasnęło, zakręciło się, zawarczało i trrr! — umilkło.

Monarcha wyskoczył z łóżka i posłał natychmiast po nadwornego doktora. Cóż tu jednak poradzić mógł doktor? Udano się do zegarmistrza i ten, obejrzawszy bardzo uważnie maszynkę i pokiwaawszy głową w rozmaite strony, zdecydował, że ptaka jeszcze naprawić można, lecz zarazem zapowiedział, że trzeba oszczędzać go bardzo, gdyż śrubki się wytarły, a zastąpić je nowymi niepodobna.

Rozpacz! Tylko raz na rok można było teraz nakręcać słowika, a i ta próba zawsze była dla niego niebezpieczną. To też po każdej pieśni kapelmistrz nadworny ocierał spocone czoło i wygłaszał mowę, bardzo piękną i pełną najniezwyklejszych wyrazów, w której zapewniał, że śpiew sztucznego ptaka doskonalszy jest, niż kiedykolwiek.

I znowu pięć lat upłynęło, kiedy niespodzianie na kraj spadło już teraz prawdziwe nieszczęście: cesarz zachorował ciężko i doktorzy zapewniali, że niema dla niego ratunku. Wybrano więc następcę, i tylko lud, przywiązany szczerze do monarchy, gromadził się przed pałacem, dopytując o jego zdrowie.

— Hm! — odpowiadał mu tylko szambelan i potrząsał głową znacząco.

A cesarz leżał na wspaniałym łożu blady i zimny. Dwór cały miał go już za umarłego, więc pusto było w tej części pałacu; urzędnicy i mandaryni śpieszyli do nowego władcy, bo on teraz rozdawać mógł łaski i skarby. Ze służby także przy nim nie było nikogo, lokaje i pokojówki, korzystając z chwilowego bezkrólewia, urządzili u siebie wspaniałe przyjęcie i rozpowiadali ciekawym o wszystkim, co wiedzieli i o czym nie wiedzieli wcale.

Wysłano dywanami wielkie sale i korytarze, aby kroków słyszać nie było, więc w pałacu panowała dziwna cisza, żadnym szmerem nie zakłócona.

Ale cesarz nie umarł, choć leżał bezwładny na purpurowym łożu, osłonięty ciężką kotarą z purpurowego aksamitu ze złotymi łańcuchami. Przez otwarte okno wpadał do pokoju jasny blask księżyca i oświeślał salę, postać cesarza i sztucznego ptaka na jedwabnej poduszce u wezgłowia.

Pierś monarchy podnosiła się zaledwie słabym i męczącym oddechem, gdyż czuł na niej ciężar, niby kamień olbrzymi. Otworzył oczy, ażeby zobaczyć, co go tak okropnie przygniata i ujrzał — śmierć. Na jego sercu siedziała koścista, w jego własnej koronie, z jego mieczem w ręku, sztandarem w drugiej. Wszystkie cesarskie skarby mu zabrała, teraz odbierze życie.

A z poza fałd kotary ciężkiej, aksamitnej, wysuwały się dziwaczne postacie: jedne uśmiechnięte, pogodne i jasne, inne okropne, straszne. Były to złe i dobre uczynki cesarza, które wróciły doń w godzinie śmierci, aby z nim razem opuścić tę ziemię.

Co chwila wychylały się z poza firanek i mówiły do niego.

— A pamiętasz o tem? — A to pamiętasz? — A nie zapomniałeś tamtej godziny? A tamto? A tamto?

I mówiły tak wiele, że choremu pot śmiertelny okrył czoło i nie wiedział, co począć, aby nie słyszeć ich więcej.

— Nigdy w życiu nie doznawałem takiej męki! — szeptał. — Ja nie chcę tego słyszeć! Muzyki! Muzyki! Bijcie w wielki bęben chiński, abym nie słyszał ich głosów! Nie chcę słyszeć, co one mówią!

Lecz postacie z poza kotary śmiały się i mówiły ciągle, ciągle, bez ustanku, a śmierć, jak Chińczyk, wciąż kiwała głową w złotej koronie.

— Muzyki! Muzyki! — powtarzał zmęczony monarcha. — Słowiczku mój złoty, ty mi zaśpiewaj! Ja cię tak kochałem! Obsypywałem cię podarunkami, własny pantofel na twojej szyi zawiesiłem! Zaśpiewajże mi teraz! Czyż mi nie zaśpiewasz?...

Ale ptak milczał. Nie było nikogo, ktoby go nakręcił, więc bezduszna maszynka zaśpiewać nie mogła.

I śmierć tylko patrzyła na chorego pustymi otworami w czaszce, a dokoła panowała straszna i dręcząca cisza...

Wtem na zielonej gałęzce za oknem rozległa się pieśń cudna: to prawdziwy słowik!

Dowiedział się o chorobie cesarza i zaraz przyleciał do niego z pieśnią nadziei i ukojenia. I śpiewał tak cudownie, że straszne widziadła pobladły i zniknęły, a krew coraz szybciej krążyła w sztywnych i stygnących członkach umierającego. Śmierć nawet sama kiwać się przestała i zasłuchana, powtarzała tylko:

— Ach, śpiewaj jeszcze, śpiewaj!

— A oddasz mi cesarski miecz? — Cesarski sztandar? — Oddasz złotą koronę? — pytał słowik.

I śmierć oddawała zagrabione skarby jeden po drugim za pieśni cudowne.

A słowik śpiewał dalej, coraz rzewniej, piękniej. Śpiewał o nocy i ciszy cmentarza, gdzie kwitną białe róże na świeżej mogile, gdzie czeremcha rozlewa woń upajającą, a rosa łez ludzkich pada na trawę i kwiaty.

I porwana tęsknotą do ziemi ojczystej, śmierć się rozviała w mgłę jasną i, lekka jak obłoczek, uleciała przez otwarte okno.

— O dzięki ci! — rzekł cesarz. — Dzięki ci, ptaku niebiański! Poznałem cię. Ja ciebie wygnałem z królestwa i granic państwa mego, a ty rozproszyłeś okropne widma, które mię dręczyły i śmierć samą oderwałeś od mojego łóża. Jakże cię wynagrodzę?

— Już jestem wynagrodzony — odparł słowik. — Widziałem łzy w twoich oczach, kiedy po raz pierwszy zaśpiewałem dla ciebie, i tego nigdy w życiu nie zapomnę. Łza — to najdroższy klejnot dla śpiewaka, większej nagrody nikt mu dać nie może.

— A teraz uśnij; sen powraca zdrowie; ja ukołyszę cię do snu piosenką.

I zasnął chory cesarz, uśpiony czarowną, słodką melodią pieśni, co płynęła z serca.

Promienie słońca zajrzały przez okno do sali porcelanowej i cesarz zbudził się silny, zdrowy.

Przy nim nie było nikogo: służba myślała, że nie potrzebuje już od niej posług, — tylko na gałęzce za oknem śpiewał słowik, prawdziwy przyjaciel, który nie szukał nagrody i sławy, lecz umiał kochać wiernie.

— Zostań przy mnie na zawsze — rzekł do niego cesarz — będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka rozbiję na drobne kawałki.

— Pozostaw go — prosił śpiewak — wszak służył ci wiernie, o ile było w jego mocy. Ja w pałacu żyć nie umiem, nie mogę tu więc gniazda; ja potrzebuję swobody i lasu. Jestem śpiewakiem Bożym i nie mogę na tym świecie być niczym niewolnikiem ani służyć nawet napotężniejszemu i najlepszemu z monarchów. Mogę być jednak jego przyjacielem. Co dzień wieczorem siadę na gałęzce u twego okna i śpiewać ci będę,

aby cię rozweselić i ukoić; moja piosenka zbudzi w twojem sercu przyjaciół prawdy, uczucia szlachetne, które dworacy sztucznie usypiają. Będę ci śpiewał o wszystkim, co smutne, o cierpiących i nieszczęśliwych, o pokrzywdzonych i o zapomnianych, o wszystkim, co ukrywają przed tobą. Mały ptaszek lata wszędzie, wszystko widzi, — zna ubogie chatki rybaków nad morzem i pracujących w pocie i znoju rolników, których ty, panie, nie widziałeś nigdy. Nad koronę twoją przekładałam twe serce i do niego przemawiać będę w moich pieśniach. Przrzecz mi tylko jedno.

— Wszystko, czego zapagniesz! — odrzekł, wstając, cesarz — i na znak przysięgi miecz złoty przycisnął do serca.

Wyglądał znowu wspaniale w bogatym cesarskim stroju, który sam dziś przywdział, słuchając głosu ptaka-przyjaciela.

— Nie mów nikomu o tem — dodał słowik — że jest ptaszek maleńki, który tobie tylko śpiewa pieśni miłości i prawdy. Wierz mi: tak będzie lepiej.
I słowik odleciał.

Do komnaty cesarskiej weszli dworacy i służba, urzędnicy i mandaryni, wszyscy przyszedli pożegnać zmarłego monarchę, po raz ostatni spojrzeć na twarz jego.

Wtem stanęli zdumieni: cesarz stał ubrany, z mieczem, w koronie, zdrów, silny i wesoły.

— Witam was! — rzekł uprzejmie.